GŁOS POLSKI

POPULARNE PISMO TYGODNIOWE

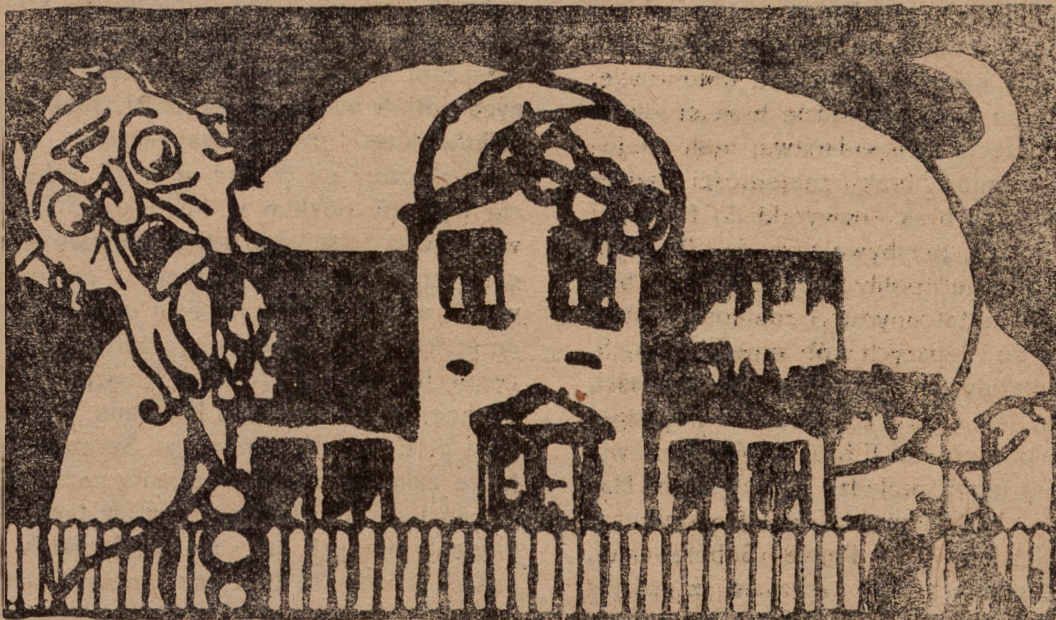
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kalecza 4. | Nr. 47. 15. Stycznia 1929. Rok III. | Cena egzemplarza 20 groszy.

„Karnawał" na lwowskim bruku.



Oto obrazek w zimie dobrze znany:
Ludzie padają na łeb, niczem muchy..
Ten i ów tańczy, jakby opętany,
Tamten komiczne znów wyczynia ruchy,
Wkońcu — bęc! leży biedak już na lodzie...
(Jeśli upadłeś, Bogu ducha polećl)
Takie rozkosze mieści w zimie Lwowek,
Kiedy w nim zacznie się słynna gołoledź...
Hejże, panowie, od miotły! do pracy!
Czas, byście z nóg łamanych drwić przestali
I by powiedział o was szczerem sercem
Wreszcie Lwów cały: — Piasku nasypali!...

Niesamowite historje o „djable" straszącym nocą...



Znany był powszechnie przed wojną domek przy ul. Szeptyckich, w którym według opowiadań kumoszek — miał rzekomo „djabeł" straszyć. Jeśli bajki o djable złożyć należało na karb ciemnoty i żądzy sensacji, to jednak nie ulegało wątpliwości, że działy się w tym domku jakieś dziwne rzeczy w porze nocnej, więc szmery, hałasy, przesuwanie się przedmiotów itd. Dziś już na szczęście te objawy i im podobne zjawiska są w zupełności naukowo wytłumaczone. — Mianowicie objawy te zależą nieświadomie od jednej z osób zamieszkałych w domu, a mającej zdolności medjumistyczne, o czem sama ta osoba często nie wie. Tak też i w wyżej wspomnianym domku—gdy zmienili się mieszkańcy, ustały i zjawiska. Niedawno i w Warszawie tłumy gromadziły się przed pewnym domem, gdzie nocami działy się podobno różne dziwy, pędząc sen z powiek mieszkańcom. Były to więc tajemnicze szmery, otwieranie się drzwi, spadanie przedmiotów, lewitacja mebli etc. Okazało się, że medjum jest bona tamże zamieszkała, a wykazująca zdolności podobne, jak słynna Eleonora Zugun z Bukowiny. Trzy lata temu znów budził sensację „duch zmarłego chłopca w Brodach". Były to zjawiska w domu proboszcza ruskiego, zostające w związku z śmiercią jego syna. Okazało się, że drugi, żyjący jego syn jest medjum i dziwy działy się tylko w jego obecności. Były to stukania, oznaczające pewne umówione słowa, jak „tak" lub „nie", a nawet „duch" pisał niewidzialną ręką całe wyrazy ołówkiem na kartce. Inna rzecz, że te zjawiska medjumistyczne mogą pozostawać istotnie w związku z duchami (ciałami astralnemi) zmarłych, jednak te nie mają możności objawienia się bez użycia do tego medjum żyjącego, zdatnego do użyczenia duchowi energji materjalnej. Tę ewentualność nauka dziś dopuszcza, jako zupełnie możliwą. Wobec wielkiej wagi problemu, dziecinnie śmieszne są bajeczki o „djabłach", straszących nocą po strychach i ciemnych zakamarkach. Mimo to domek we Lwowie przy ul. Szeptyckich sławnym pozostał do dziś z tych opowiadań i jeszcze teraz niejeden zabobonny przechodzień wieczorem z trwogą obejrzy się na okalający dom parkan i ciemny ogródek i przeżegna się, by uchronić się od jakichś zwidzeń. — Ale czegóż nie dokona nędza mieszkaniowa? Lepszy i taki domek od nocowania na mrozie, więc i tam rojno jest i gwarno od mieszkańców, a i strach ich odbiegł, wobec czego i „djabeł" zaprzestał już dawno harców i uciekł, gdzie pieprz rośnie...

Wygnańcy nasi za oceanem.

Ładnem dla nas zjawiskiem jest proceder Towarzystwa Historycznego Stanu Illinois w Ameryce półn. z siedzibą w Springfeld, które zajęło się ostatnio badaniem historji poszczególnych grup narodowościowych osiadłych w granicach stanu. Opracowania dziejów osadnictwa polskiego podjęła się pani Eleanor C. Rawlings ze Springfield, jedna z jego członkiń i żona stanowego dyrektora zdrowia. Owocem pracy Amerykanki jest szkic p. t. „Wygnańcy Polscy w Illinois", który został odczytany przez autorkę na rocznem posiedzeniu towarzystwa historycznego. Pracę tę Amerykanki przełożył na język polski i ogłosił drukiem skrzętny, a zasłużony historyk dziejów naszych zamorskich, publicysta p. Mieczysław Haiman na podstawie upoważnienia uzyskanego przez redakcję „Dziennika Zjednoczenia" w Chicago od Towarzystwa historycznego i autorki. Cenny zaprawdę to przyczynek do dziejów wychodźctwa naszego wogóle, a zwłaszcza do dziejów losu rozproszonych po świecie bojowników o wolność Polski, a mianowicie z walk listopadowych i styczniowych. Właściwy temat odczytu poprzedza krótki rys historji polskiej, który dzieli ją na podstawie prac dr. Karola Kratzira na siedem okresów. Ostatnim okresem jest odrodzenie Rzeczypospolitej. Z wielkiem uznaniem podnosi autorka tolerancję religijną w dawnej Polsce i niewypowiadanie wojen zaczepnych, chyba w celach własnej obrony, lub obrony religji chrześcijańskiej. Po krótkim wstępie i zarysie powstania listopadowego podaje p. Rawlings zasługi emigracji polskiej, która utrzymywała pamięć o Polsce w opinji zachodniej Europy i utrzymywała święty ogień polskich narodowych tradycyj i narodowej świadomości w sercach rodaków. Upadek powstania listopadowego wyrzucił na brzegi Stanów Zjednoczonych Ameryki wielu żołnierzy i uboższej szlachty polskiej i ci zostali przyjęci tamże nadec

gościnnie. Mieszkańcy Stanu Illinois wystosowali do nich odezwę z apelem: **„Przyjdźcie do nas szlachetni potomkowie dzielnego narodu, przyjdźcie do nas Bohaterowie i Męczennicy Wolności, otwieramy bratnie ramiona na Wasze powitanie!“** Pierwszym wygnańcem z Polski, który przyjechał do Ameryki, miał być Józef Hordyński, major armji polskiej. Niebawem przybył kapitan Józef Napieralski, a **przybył okrętem z Norwegji** w towarzystwie 130-140 kolegów broni. Życie swoje spędził w Chicago. Jak podaje w swej pracy ks. Kruszka, przywiozły dnia 31. marca 1834 dwa austryjackie okręty „Gourriere“ i „Hebe“ 235 polskich wygnańców do Nowego Yorku. Były to resztki nieudałej **partyzantki pułk. Józefa Zalewskiego.** Długo trwały zabiegi wygnańców o zdobycie środków egzystencji, o zyskanie kawałka ziemi pod kolonizację, a stał temu na przeszkodzie brak środków do rozpoczęcia gospodarstwa, brak znajomości rzemiosł, brak znajomości języka angielskiego i brak nawyczki do fizycznej pracy. Polacy, przybywający do Ameryki w tym okresie politycznej emigracji, byli ludźmi wykształconymi i znajdowali łatwy dostęp do lepszych kół amerykańskich, które uważały ich za **męczenników wolności.** Pięknym jest opis z roku 1842 o tragicznej śmierci porucznika Edwarda Młodzianowskiego i o tegoż koledze i przyjacielu Napoleonie Kościałowskim, dalej o doktorze A. X. Illińskim i o Pawle Sobolewskim, którego **matka miała pochodzić z rodziny Króla Sobieskiego.** Był on autorem książki zawierającej tłumaczenie na język angielski polskich poezji z wieków XVI-XIX. Wygnańcy polscy mieli na cmentarzu w Chicago własną wspólną kwaterę. Pomiędzy dalszemi, licznemi nazwiskami wygnańców naszych widnieją zasłużone nazwiska I. Sodowskiego, A. Gajkowskiego, Mikołaja Hahna, Grzegorza Supronowskiego Polkowskiego, najwybitniejszej swego czasu postaci ks. Wincentego Barżyńskiego, Piotra Kiołbasy, kapitana armji unijnej, Krystyna Zalewskiego, lekarza Longina Wronowskiego, Józefa Kołłątaja etc. Założone przez polskich weteranów stowarzyszenia dążyły do zniesienia niewolnictwa, a w celu członków tych stowarzyszeń z kapitanem Aleksandrem Bielanowskim na czele **odznaczyło się chlubnie w domowej wojnie amerykańskiej.** Szerszy ustęp odczytu poświęciła autorka pamięci Jana Sobieskiego, rzekomego potomka rodziny **królewskiej, który przepędził w Ameryce swą młodość na różnych polach walk, był już w 21. roku życia pułkownikiem armji meksykańskiej,** w 24. roku skazany na śmierć, a w 26. roku życia wybrany posłem w Minnesota. Trudno wyliczać w treściwym artykule dalsze mnogie szeregi rodaków naszych, rzuconych wirem wypadków na rozległe obszary ziem amerykańskich: odsyłamy czytelników do cennych prac ks. Wacława Kruszki w Milvaukee, p. Mieczysława Haimana w Chicago i p. E. C. Rawlings w Springfield 3, które zainteresują bezwątpienia nasze społeczeństwo, a zwłaszcza **rodziny tych wygnańców naszych, jacy po bohaterskich zapasach o wolność Ojczyzny** znaleźli schronienie na gościnnej swobodnej ziemi amerykańskiej.

Józef Białynia Chołodecki.

Kto się żeni i wychodzi zamąż
we Lwowie?

W ostatnim czasie w kościołach lwowskich odczytano następujące zapowiedzi ślubów, z których w tych dniach większa część już się odbyła:

Dr. Marjan Lisowski (Poręba) z Dr. Salomeą Margulies (św. Piotra 31), Adam Kwieciński (Warszawa, Nowe Miasto 11) z Stefanją Rylską (Piastów 8), Dr. Czesław Grzeszczyński (Małeckiego 7) z Stefanją Toczyską (Tkacka 39), Kazimierz Zuber (Albanja, Valona) z Marją Rozwadowską (Potockiego boczna 9), Czesław Więckowski z Marją Słabicką (Chodkiewicza 7), Władysław Wanka (Lindego 3) z Anną Radnik (Kopernika 6), Stanisław Mazur (Trybunalska 10) z Stanisławą Kadyło (Kleparów), Michał Zwarycz (Tarnowskiego 30) z Salomeą Majcher (Bielowskiego 4), Andrzej Hardulak (3 Maja 11) z Marją Kozak (3 Maja 11), Stanisław Adamowicz (pl. Krakowski 7) z Zofją Cegielną (pl. Krakowski 7), Bruno Prugar (Sapińskiego 7) z Władysławą Kaliską (Piastów 8), Mikołaj Sodoma (Zielona 22) z Anną Bielawską (Ciowa 6), Tadeusz Rafalski z Heleną Woś (Jabłon. 11), Antoni Pieniawski z Ewą Romacką (Zielona 84), Józef Hachuła (Łyczakowska 61) z Joanną Błotną (pl. św. Antoniego 3), Adam Paszkiewicz z Stefanją Bodnar (Hoffmana 11), Józef Słomicz (Sobieszczyzna 6) z Elżbietą Ficon (Hoffmana 4), Antoni Lubiński (Zofji 32) z Filomeną Swobodową (Teatyńska 8), Edward Lelowski (Józefa 7) z Anielą Andruchów (Piekarska 16), August Kuczenraiter (Źródlana 48) z Marją Kaszewską (Brześć Kuj.), Władysław Szląząk z Heleną Malską (Kingi 4), Stan. Warchałowski z Marją Woroną (Zamarstynów, Krzywa 22), Antoni Syczak z Stefanją Lisowską (Zamarstynów, Lwowska 22), Józef Zieliński z Katarzyną Dubik, Kazimierz Kopczyński z Ewą Pograniczną, Jan Skowron z Marją Kuczyńską, Franc. Główka z Stefanją Holejko, Wład. Siadek z Marją Missler, Kaz. Gąsowski z Marją Kamińską, Juljan Koronczewski (Bema 22) z Heleną Pawulą (Chrzanowskiej 12), Stanisław Musakowski z Petronelą Górską, Leopold Mistalski z Marją Klym, Kajetan Hańka z Józefą Żedzianowską (Bogdanówka 5), Ignacy Zaleski z Marją Lydaczek (Teresy 4), Kazimierz Dobrowolski z Zofją Zwarycz (Grodecka 131), Józef Capuła ze Stanisławą Kobiałką (Potockiego 20), Micha Gil z Józefą Husak (Grodecka 50), Adam Łazarczuk z Włodzimierą Baudisch (Grodecka 127), Dr. Bolesław Jurczenko z Marcelą Tabor (Grodecka 131), Fryderyk Hely z Kazimierą Jagielską (Bogdanówka 67), Józef Curyk z Stefanją Gaberle (B. Głowackiego 8), Witold Kościński z Heleną Ordyńską (Niemcewicza 46), Wład. Ochowicz z Marją Kromer (Szeptyckich 21), Kazimierz Dobrowolski (Grodecka 131) z Zofją Zwarycz (Wagilewicza 9), Otto Józef Hryculak (Piekarska 40) z Janiną Aseńko (Tarnopol), Antoni Wolański (Bolechów) z Marją Sochacką Karpińskiego 19), Leon Gawroński (Issakowicza 18) z Heleną Rusiniak (Potockiego 42), Jan Miechowicz (Kępa) z Marją Zakrzewską (Obwodowa 10), Józef Lewicki (Łąckiego 7) z Antoniną Brzezicką (Kulate), Zygmunt Muszka (Żółkiew) z Heleną Domiczek (Zadworzańska 54), Kazimierz Engel (Zadworzańska 9) z Zofją Dynys (Zamarstynów), Józef Żychal (Kraków) z Marją Żółkiewską (Na Bajki 14), Walenty Zięja Sapiehy 2) z Marją Szkilnyk (Kr. Jadwigi 25), Wład. Frühauf z Józefą Farion (Potockiego 64).

Jak wynika z wykazu powyższego, sporządzonego zaledwie za czas 2 tygodni, istnieje jeszcze ciągle — mimo „pesymistycznych“ poglądów na problem matrymonjalny — cała masa kandydatów do małżeńskiego „jarzma“...

Tajemnice czarnoksięskiej magji.

Na pozór cudownemi wydają się być niektóre sztuczki czarodziejów nowoczesnych, alfiktorów i fakirów, wywołujące dreszcz tajemniczości i niesamowitości. Ze względu na zainteresowanie tysięcy czytelników, „jak się to robi i skąd się to bierze“, że dzieją się nieraz prawdziwie „czarodziejskie“ dziwy, podamy w naszych numerach sposób wykonania szeregu czarnoksięskich sztuk, odsłaniając tajemniczą kotarę, jaką troskliwie okrywają swe „cuda“ fakirzy i magicy.

Sztylet wbity w czoło.

Do dokazania tej sztuki potrzeba 2 ch jednako wyglądających sztyletów. Jeden musi być atoli tak sporządzony, by ostrze za najlżejszym naciskiem chowało się w rękojeść i natychmiast napowrót wyskakiwało, gdy tylko nacisk ustanie. Ten sztylet czarodziej trzyma przy sobie ukryty. Drugi doń podobny daje do obejrzenia widzom. Potem zręcznie zamienia sztylet ostry na nieszkodliwy, przechyla głowę i przyciska tępą jego klingę do czoła. Klinga chowa się w miarę nacisku w rękojeść, a potem gdy nacisk ustał, wysuwa się znów na całą długość (urządzenie sprężynowe). Robi to jednak kompletne złudzenie wbijania i wyciągania sztyletu z czoła, przyczem efekt potęguje twarz boleśnie wykrzywiona. Mała ukryta w ręce gąbka, nasycona czerwonym płynem, za naciskiem daje parę kropel podobnych do krwi ludzkiej. Potem okazuje się, że z „rany“ niema śladu.

Znikanie monet.

W róg chusteczki wszywa się małą monetę, pokazuje się chustkę wszystkim na dowód, że pusta i prosi o monetę (tej samej wielkości, co zaszyta). Udaje się, że się ją zawija, a zatrzymuje się ją w ręku. Następnie zwiniętą chustkę pokazuje się obecnym i dozwala się palcami wyczuć, że wewnątrz istotnie moneta się znajduje. Oczywiście nikt nie wie, że tam jest inna moneta zaszyta. Chustkę złożoną daje się komuś do potrzymania na stole, poczem pod stół podstawia się talerz, lub kosz, uderza się w stół ręką, a równocześnie z drugiej ręki, w której trzyma się talerz, upuszcza się na talerz pieniądz. Wreszcie bierze się chusteczkę i strzepuje się ją na dowód, że monety

w niej już niema, bo przez drewnianą powierzchnię stołu przeszła na talerz.

Wyjmowanie z ust kolorowych wstążek.

Bardzo cienką i bardzo długą kolorową wstążkę zwija się i ukrywa w lewej ręce. W prawej ukazuje się kulkę szklaną i udaje że się ją połyka, tymczasem ją się chowa, a w usta wkłada zwiniętą szczelnie wstążkę, tak, żeby koniec jej można było z ust ująć palcami, następnie ciągnie się.

Sopel lodowy w pobliżu pieca przymarza do stołu.

Lodowy sopel, wygładzony u podstawy, posypuje się solą kuchenną, lub saletrą, a podstawa jego przymarznie do stołu.

Czarodziejska beczka, czyli jak można wodę przemienić w wino.

Mała beczka z blachy jest wewnątrz ścianką prostopadle przedzielona. Połowę A napełnia się pokryjomu czerwonem winem, lub piwem. Drugą B dopiero ne przedstawieniu napełnia się wodą, tak, by widzowie mieli wrażenie, że napełnia się całą beczkę. Kurek przytwierdzony jest do części A. Odkręca się kurek i daje się wszystkim kosztować prawdziwy napój.

Różowa róża zamieniona na zieloną.

Należy płatki powlec esencją salmiaku.

Przemiana mleka w krew.

Kamień winny sproszkowany zabarwia mleko na kolor czerwony.

W następnym numerze dalsze ciekawe sztuki magiczne.



Człowiek i wąż

W śmiertelnych pętach magnetycznej hipnozy.

„Jest to faktem znanym, niezaprzeczalnym i stwierdzonym przez wielu przyrodników, że wzrok niektórych gatunków węży posiada władzę magnetyczną, tak nieodpartą iż żadna żywa istota nie może jej się oprzeć, lecz przyciągnięta hypnotycznym wpływem potwora zbliża się wbrew swej woli i ginie od jadowitego ukąszenia“.

Hasker Brayton, leżąc wygodnie na kanapie w szlafroku i pantoflach, uśmiechnął się, przeczytawszy te słowa starego przyrodnika Morysterra, zawarte w dziele: „Cuda wiedzy“.

— Cud polega na tem, — pomyślał sobie — że za czasów tego poczciwca wierzono w różne rzeczy, z których dziś śmieje się najmniej nawet wykształcony człowiek.

Brayton, sformułowawszy to zdanie, opuścił książkę na sofę i zamyślił się — lubił bowiem rzecz każdą zgłębić do gruntu. Przez ten czas oczy jego pobiegły przypadkowo ku podłodze, na której zauważył dwa punkty, świecące w półmroku pokoju w oddaleniu półtora mniej więcej cala jeden od drugiego: zapewne były to dwa gwoździe, w których odbijał się blask lampy. Brayton nie zwrócił na niej większej uwagi i zgłębił się ponownie w czytaniu. Po chwili jednak, ulegając nieuświadomieniu impulsowi, spojrzał w to samo miejsce. Świecący punkty znajdowały się ciągle w jednakowej pozycji, nabrały jednak żywszego blasku i zielonawego koloru, czego przedtem nie zauważył. Zdawało mu się też, że przybliżyły się nieco. W pokoju, niedostatecznie oświetlonym przez lampę naftową, panował taki półmrok, że z daleka niemożna było rozróżnić dokładnie ich natury i pochodzenia. Młody człowiek powrócił do książki.

Nagle jakieś przeczytane zdanie nasunęło mu pewną myśl, która przejęła go taką zgrozą, że książka wypadła mu z ręki, a on sam uniósł się na kanapie i spojrzał niespokojnie w kierunku łóżka, kędy błyszczały dwa tajemnicze punkty. Tym razem począł obserwować uważniej, a wzrok jego nabrał przenikliwości i siły. Wówczas zobaczył u stóp łóżka olbrzymiego węża, zwiniętego w kłąb. Błyszczące punkty to były oczy! Potworna głowa skierowana wprost ku Braytonowi, spoczywała na ostatnim zwoju cielska, w mroku rysował się niewyraźny kontur brutalnej paszczy i spłaszczonego czoła. Oczy straciły charakter błyszczących punktów bez znaczenia, lecz pełne demonicznego wyrazu poczęły wpatrywać się uparcie w twarz Braytona.

II.

Wąż w pokoju — w europejskiem mieście — w mieszkaniu urządzonem z współczesnym komfortem! Jest to zjawisko tak niezwykłe, że wymaga bliższych wyjaśnień:

Hasker Brayton, młody, bogaty, wykształcony człowiek, wrócił właśnie do San Francisko po długiej podróży. Był tak stęskniony za wygodami osiadłego życia, że pobyt w hotelu wydał mu się zbyt utrudzający, przyjął przeto z radością zaproszenie doktora Druvinga, sławnego uczonego, a swego serdecznego przyjaciela.

Dom p. Druvinga, położony w dzielnicy, oddalonej od centrum miasta, miał wygląd wspaniały, nieco ekscentryczny, niepodobny wcale do otaczających go kamienic; — wyrażał poniekąd zatem charakter swych właścicieli.

Jedno skrzydło tego domu było przeznaczone na laboratorja, menażerję i na muzeum. W tem skrzydle uczony poświęcał się pracy i badaniom życia zwierzęcego, powiedziawszy prawdę: w szczególności życia gadów. Szczególną sympatją otaczał ropuchy i węże, dlatego chętnie nazywał sam siebie Zolą zoologji. Jego żona i córki, które nie dzieliły zamiłowań uczonego, miały wzbroniony wstęp do tak zwanej „wężarni“ i były zmuszone ograniczyć się do towarzystwa swych przyjaciółek tego samego gatunku, co one. Zato miały możność zaćmiewać je blaskiem toalet — uczony bowiem był bardzo bogaty.

Umeblowanie „wężarni“ było nader surowe i proste, zastosowane do natury lokatorów. Niektóre okazy posiadały osobne klatki, ponieważ miały tę niedogodną właściwość, że były żywe.

Czasem zdarzało się także, że udało się któremuś z osobników przekroczyć progi „wężarni“ i zapuścić się aż w głąb skrzydła, zamieszkanego przez ludzi.

Brayton wiedział o tem wszystkiem, naogół jednak wolał nie myśleć o nieprzyjemnych współlokatorach, bowiem poza wężarnią — dom doktora Druvinga miał dla niego wele uroku, a pobyt w nim zaliczał zawsze do najmilszych epok swego życia.

III.

Gdy minęło pierwsze wrażenie, tak silne, że wyrwało młodemu człowiekowi okrzyk zdumienia z piersi — Hasker Brayton opanował się w zupełności. Pod wpływem pierwszego odruchu wyciągnął rękę po dzwonek, by wezwać służbę. Nie uczynił jednak tego, choć guzik elektryczny znajdował się tuż koło jego ręki, pomyślał bowiem, że mieszkańcy tego domu mogliby go posądzić o tchórzostwo, a on nie bał się przecież! Nie chodziło mu tyle o realne niebezpieczeństwo, ile drażniła go dziwaczność sytuacji. Jakież to wszystko było wstrętne i obrzydliwe! Ten gad, zwinięty pod łóżkiem, należał do gatunku nieznanego Braytonowi.

Młody człowiek nie mógł ocenić jego długości — widział bowiem tylko zwoje i doszedł do wniosku, że grubość cielska mogła dochodzić do grubości ludzkiego przedramienia.

Czy gad był niebezpieczny? Czy zabijał jadem? Czy należał do gatunku boa constrictor? — Brayton nie mógł zdać sobie z tego sprawy.

Zresztą mniejsza o niebezpieczeństwo. Sama obecność tej bestji w pokoju była nie do zniesienia! Ramy te nie były odpowiednie dla takiego klejnotu. Nawet wyobraźnia epok, rozmiłowanych w tworzeniu potworów na płótnie, czy freskach, cofnęłaby się przed podobnym intruzem, mieszkańcem dżungli, który tu wtargnął bezczelnie. W dodatku sama myśl, że oddycha powietrzem, zatrutem wyziewami tej bestji, była nadzwyczaj przykra dla Braytona. Myśli te przewinęły się przez mózg młodego człowieka i skłoniły go do powzięcia decyzji. Należało tylko przejść od refleksji do czynu — moment, który decyduje o tem, czy człowiek jest przytomny, czy obłąkany. Tajemnica ludzkich poczynań jest nader prosta — ulegamy impulsywnemu kurczowi mięśni-

Czy istotnie należy tym zmianom układu molekularnego nadawać szumną nazwę wolnej woli? Czy liść uwiędły, oddarty od pnia i niesiony wiatrem jesieni daje dowód świadomej inteligencji, zależnie od tego, czy spadnie na ziemię, czy na wody jeziora?

Brayton wstał i miał zamiar minąć ostrożnie węża, nie mącąc mu spokoju i opuścić pokój. Miał zamiar wycofać się na palcach, posuwając się wstecz. Czy wąż przypełznie za nim? Na ścianach znajdowała się, prócz obrazów, porozwieszana broń różnego rodzaju, po większej części pochodzenia wschodniego. W danym razie mógłby się nią posłużyć.

Oczy gada lśniły coraz większą złośliwością i siłą!

Młody człowiek oderwał nogę od podłogi, w chwili jednak, gdy miał ją postawić z powrotem o krok dalej, doznał gwałtownej odrazy do tego tak prostego ruchu.

— Uchodzę za odważnego — pomyślał — a chcę postąpić jak tchórz, pozbawiony godności. Uciekam, ponieważ nikt mnie nie widzi.

Stał nieruchomo, oparty o poręcz krzesła, z nogą uniesioną w górę.

— Przecież nie jestem chyba na tyle tchórzliwy, by lękać się tego gada— szepnął do siebie.

Podniósł prawą nogę wyżej w górę i postawił ją energicznie na podłodze. Usiłował poruszyć drugą nogę. Tak samo bez wyraźnego skutku, natomiast ręce jego zacisnęły się kurczowo na poręczy krzesła. Wąż ciągle kierował ku niemu tę głowę złowróżbną — nie ruszał się z miejsca, ale oczy jego teraz świeciły jak dwie elektryczne iskry, siejące wokół świetlane błyski.

Twarz Braytona pokryła się upiorną bladością. Najwyższym wysiłkiem woli uczynił krok naprzód, potem drugi, dzierżąc ciągle poręcz krzesła w dłoni i wlokąc je za sobą. W pewnej chwili puścił ją, a stołek padł na ziemię z głośnym łoskotem.

Brayton jęknął boleśnie. Wąż, zapewne nie słyszał hałasu, ponieważ nie poruszył się wcale, ale oczy jego w tej chwili stały się podobne do dwóch słońc oślepiających. Źrenice tylko drgały i wirowały w kształcie barwnych, tęczowych kół, to znów, osięgnąwszy kulminacyjny punkt natężenia świetlnego, przygasał rozwiewały się niejako, jak dwie tęczowe bańki mydlane. Braytonowi wydawało się chwilami, że sięgają jego twarzy to znów, że oddalają się i świecą ku niemu z jakichś odległych mrocznych przestrzeni...

Olbrzymi łuk tęczy rozdzielił na dwoje strop niebieski. Pod jego arkadą zagrały bielą marmurów jakieś miasta antyczne... szerokim gościńcem pełzł wąż: dźwignął się w górę na zwojach cielska i uderzył w Braytona oczyma które stały się podobne do oczu jego zmarłej matki... Nagle obraz ten zaczarowany uniósł się w górę, niby kurtyna teatralna i rozwiał w wysokościach...

Brayton poczuł jakieś uderzenie, skierowane w głowę i pierś... Upadł na ziemię... Krew popłynęła mu z nosa i z rozdartej wargi. Leżał przez chwilę ogłuszony, a potem oprzytomniał i uświadomił sobie, że padając, stracił z oczu głowę węża i jego źrenice — skutkiem czego prysł czar. Gdyby zatem nadal unikał tego hipnotycznego wzroku, mógłby się jeszcze ocalić. Ale myśl, że wąż znajduje się o parę kroków od niego, że za chwilę może otoczyć go straszliwym uściskiem.. ta myśl zmroziła krew w jego żyłach. Odwrócił głowę, ujrzał te oczy straszliwe i na nowo uległ czarowi.

Wąż nie poruszył się; wzrok jego przestał nawet działać na wyobraźnię Braytona, ponieważ wizje nie powtórzyły się. Pod spłaszczonem czołem błyszczały tylko oczy przedziwnie złośliwym wyrazem. Można powiedzieć, że pewny triumfu gad zrezygnował z innych sposobów działania.

Wówczas rozegrała się straszliwa burza.

Człowiek wyciągnięty na ziemi, w oddaleniu jednego metra od swego prześladowcy, z głową wstecz odrzuconą, z nogami sztywnie wyprostowanemi, dźwignął się na łokciach. Twarz jego była śmiertelnie blada, splamiona krwią, oczy rozszerzyły się do ostatnich granic a z ust spływała krwawa piana. Podłużne drgania przebiegły jego ciało, niczem skurcz mięśni pełzającego gada. Począł czołgać się naprzód. Każdy ruch zbliżał go do węża. Oparł obie ręce o podłogę, raz jeszcze spróbował cofnąć się wstecz. Napróżno: zbliżał się ciągle.

IV.

Dr. Druving znajdował się właśnie z żoną w bibljotece. Uczony był w wyjątkowo dobrym humorze.

Nagle ciszę nocną przerwał krzyk ludzki, tak przeraźliwy, jak głos potępieńca, dobywający się z otchłani piekieł. Potem powtórzył się raz jeszcze, przeciągły, straszny, rozpaczliwy! Oboje małżonkowie zerwali się na równe nogi, on — zaniepokojony, ona — blada z trwogi.

Nim przebrzmiało echo ostatniego krzyku, doktór wypadł z bibljoteki i pobiegł co tchu na górę. W korytarzu u drzwi pokoju Braytona spotkał się ze służbą, nadbiegłą w popłochu. Wszyscy rzucili się naprzód. Drzwi nie zamknięte na klucz ustąpiły z łatwością.

Brayton leżał martwy na ziemi. Głowa i ramiona kryły się do połowy pod cieniem żelaznego łóżka. Przybyli wyciągnęli zwłoki na środek i obrócili twarzą ku górze. Twarz zmarłego była splamiona krwią i zbryzgana pianą, oczy szeroko otwarte zachowały wyraz śmiertelnej trwogi.

— Nie żyje!... Atak sercowy!... — rzekł uczony, kładąc rękę na sercu, które już bić przestało.

Spojrzenie przyrodnika padło na podłogę.

— Wielki Boże! — krzyknął z przerażeniem — skądże się tutaj wziął?!

Wsunął rękę pod łóżko, wyciągnął węża i rzucił go na środek pokoju. Gad upadł z głuchym łoskotem, poślizgnął się po woskowanej posadzce, potoczył aż po przeciwległą ścianę i legł nieruchomo.

Był to wąż wypchany, oczy były bione z dwóch szklanych guziczków.

ZDJĘCIA MIGAWKOWE

Lwów „fasuje“ świadectwa przemysłowe!

Przechodząc w środę pl. Ciowym, wstąpiłem w jakiejś sprawie do gmachu, z którym — mimo, że jestem tylko literatem, ustawicznie mam coś do czynienia, jakgdybym był conajmniej Sprecherem, lub innym drapaczem chmur. W ciemnawym i zimnym kurytarzu dziwny obraz przedstawił się moim oczom. Ogonek! Najprawdziwszy ogon wojenny! Rozczulony tym dobrze znanym widokiem, uchyliłem grzecznie kapelusza i pytam najbliżej stojącego pana, ubranego w letnią narzutkę z kołnierzem z królików:

— Przepraszam pana, a co tu takiego się dzieje?

— Ta nie się nie dzieje, tylko wydają świadectwa przemysłowe... — zazgrzytał zepsutymi zębami pan.

Tak?? Przecież o ile mi wiadomo, na Sylwestra był ostatni dzień wykupna.

Pan w królikach popatrzył na mnie, jak na matołka, splunął mi siarczyście na połę od palta i odpalił:

— A pan skąd przyjechał? Z Winnik czy z Pacanowa? Taże tu ludziska już drugi tydzień tak sterczą i „fasują“ te patenty...

— Jakto? I ciągle taka kupa ludu? Nic nie ubywa? — zapytałem, odstępując przezornie na dziesięć kroków od jegomościa.

Pan zakrztusił się z oburzenia, a z nosa kapnęła mu kropla na króliczy kołnierz.

— Panie! Ta ja tu już stoję trzeci dzień. Co rana przynoszę sobie obiad, śniadanie, brom i aspirynę i stoję. Jutro przyniosę primus i będę gotował herbatę, bo mam grypę. Niech pan tak postoi ze dwa dni, to panu się zaraz niedobrze zrobi.

— Dziękuję bardzo panu dobrodziejowi, ale ja tu właśnie tydzień temu posłałem swego urzędnika z redakcji, by wykupił świadectwo i od tygodnia go nie widzę w biurze..

= Ha, widocznie jeszcze czeka. Niech pan poszuka dobrze, to może pan go znajdzie... — zacharczał, sapiąc jak borsuk, udobruchany już nieco pan.

Zacząłem szukać, roztrącając tłum łokciami i zbierając razy od lasek, parasoli i pięści zgromadzonych. Zbity, skopany i opluty wdzieram się w ciemny kąt i ujrzałem: mój urzędnik przyniósł sobie z domu materac i koc i leży pod murem. Za ten czas, jak daremnie czekał, wyrosła mu długa broda, oczy wpadły mu w głowę, wychudł i zczerniał. Chciałem coś rzec, ale nagle drzwi jakieś otwarły się, tłum zawył, stratował mnie i odrzucił aż w pobliże pana w królliku. Na mój opłakany widok pan zachichotał złośliwie, zwarjował z radości i upadł.

Er es.

Redaktor naczelny, odp. i wydawca: ST. RAYSKI. Z drukarni „Mieszczańskiej“, Lwów, Piekarska 17